

ANTONI LANGE

W

CZWARTYM

WYMIARZE

Antoni Lange

W czwartym wymiarze

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55842926

W czwartym wymiarze:

Аннотация

W czwartym wymiarze to zbiór dwunastu opowiadań autorstwa Antoniego Langego. Te niedługie, wyjątkowe opowieści to intrygujące historie łączące tematykę związaną z nauką, mistyką, a także filozofią (zwłaszcza filozofią Wschodu). Specjalne miejsce we wszystkich utworach zajmuje czas, co sugeruje już tytuł zbioru. Utwory wpisuje się w nastroje i tendencje schyłku Młodej Polski. Stanowią także zaczątki literatury fantastyczno-naukowej w Polsce.

Содержание

Babunia	4
Władca czasu	22
Kometa	35
Sen	46
Конец ознакомительного фрагмента.	54

Antoni Lange

W czwartym wymiarze

Babunia

Pierwsza połowa października była owego roku tak ciepła, że w naszym ogrodzie wszystkie niemal drzewa: jabłunki, wiśnie, kasztany, bzy – od strony południowej, wystawionej na mocniejsze działanie słońca, zajaśniały drobnymi liśćmi żywej, świeżej, jaskrawo zielonej barwy i pokryły się nowym młodocianym białoróżowym kwieciem. Raz jeszcze zakwitły sasanki, konwalie, prymulki i niezabudki, a w ptaszarni słychać było, niby na wiosnę, gęganie gęsi, gdakanie kur i kwakanie kaczek, złudzonych żarem październikowych promieni, co w nich budził niby nowo-wiosenne tęsknoty miłosne.

Oglądaliśmy te cuda, podnieceni szczególnym fenomenem, i nie tyle dziwiły nas nasze własne kostiumy letnie o tak późnej porze, ile ta nowa wiosna, to odrodzenie świata roślinnego, ten rozkwit młodocianych kwiatów w październiku. Byliśmy tak wzruszeni tym widokiem, że zamilkliśmy zupełnie i tylko moja żona, osoba zawsze przytomna, czuwała nad inną kategorią zjawisk; – oczy jej były utkwione raczej w stronę werandy naszego domu, niż w stronę cudów natury, i w pewnej chwili powiedziała:

– Proszę państwa na czarną kawę!

Jakoż, posłuszni temu głosowi, mechanicznie ruszyliśmy ku werandzie, gdzie już Roch na stolikach porozstawiał przybory do poobiedniej czarnej kawy.

Sąsiad nasz, p. Feliks, który lubił aluzje polityczne, powiedział wówczas:

– To wszystko robota księcia Światopełka-Mirskiego. Powywracał kalendarz do góry nogami, z jesieni zrobił wiosnę i z tego, broń Boże, wyjdzie jakaś bolesna konstytucja!

Zasiedliśmy dokoła paru stolików na werandzie, a moja żona z p. Elżbietą zaczęły rozlewać kawę w filiżanki.

Jedna z pań, która już nieco *frisait la quarantaine*¹, z melancholią patrząc na białą pianę, powstającą w kawie z topniejącego cukru, mówiła jakby do siebie:

– Gdyby to w życiu człowieka choćby na chwilę powtórzyć się mogła taka druga kwiecista wiosna!

Ale pani Emilia, mniej więcej tych samych lat osoba, zaprotestowała:

– O, ale nie z jednej strony tylko, jak na tych jabłonkach! Taka trocha mi nie wystarcza! Chciałabym się odmłodzić w całości – i to naraz², z dziś na jutro – w pełni! Wczoraj lat sześćdziesiąt – jutro dwadzieścia, nie! ośmnaście.

– Co też tym kobietom do głowy przychodzi – rzekł mąż pani Emilii. – To naruszałoby przecież logikę i ekonomię natury!

¹ *frisait la quarantaine* (fr.) – zbliżała się do czterdziestki. [przypis edytorski]

² *naraz* (daw.) – nagle. [przypis edytorski]

– A cóż mnie obchodzi logika natury...

– Powiedz, logika w ogóle... – odparł ze śmiechem mąż Emilii, przyzwyczajony do fantastyczności swej połowicy.

– A bo i prawda!

– Stoję po stronie p. Emilii – zauważył doktor M., który z sąsiedniego miasta czasami przyjeżdżał do nas na winta³. – Nie idzie mi tu oczywiście o walkę z logiką...

– Chwała Bogu – zawołał jeden z panów. – Kochany doktorze, jesteś znakomitym lekarzem, ale też lubisz rzeczy ekscentryczne i w średnich wiekach na pewno byłbyś sławnym czarownikiem.

– Bardzo bym pragnął. Marzeniem moim byłoby to samo, nad czym pracowali alchemicy: – eliksir młodości! Zapewne usłyszę znów ten sam zarzut, że się to nie zgadza z ekonomią natury. Ale na to odpowiem: czyliż my znamy całkowicie logikę i ekonomię natury, jej zamiary, jej istotę, jej możliwości? Zapewne codzienne doświadczenie uczy nas, że człowiek mniej więcej w 60–80 roku życia umiera jako starzec, ale nie zdaje mi się to *conditio sine qua non*⁴. Rozmaite mogłyby być sposoby rodzenia się, umierania i odradzania. Może są planety, na których istota ludzka trwa w długoletniej młodości i zagasa w pełni uśmiechów i rozkoszy. Może są światy, na których człowiek, doszedłszy do pewnego wieku, na nowo się odmładza, jak to widzimy u roślin. I na ziemi człowiek niekoniecznie musiał umierać tak wcześnie, jak to dziś widzimy – i niekoniecznie

³ *wint* – gra karciana. [przypis edytorski]

⁴ *conditio sine qua non* (łac.) – warunek konieczny. [przypis edytorski]

w stanie takiego kalectwa i choroby, jak to dziś widzimy. Dawne podania mówią nam o ludziach, co żyli po kilkaset lat, otoczeni kołem praprawnuków i prapraprawnuków.

Na wyspach Polinezji istnieje piękna legenda o pochodzeniu śmierci. Dawniej ludzie wcale nie umierali, ale, doszedłszy do lat pięćdziesięciu, na nowo odzyskiwali młodość i znów się rozwijali do kresu i znów się odmładzali *ad infinitum*⁵. Owóż zdarzyło się, że pewna kobieta, odmłodzona w ten sposób, chciała czule powitać swego syna. Ale ten jej powiedział:

– Ty nie jesteś moją matką. Moja matka była to siwa, czcigodna staruszka, a ty jesteś młodą dziewczyną.

Wówczas owa niepoznana matka w żalości zawołała:

– O Boże, raczej niech będę starą jak przedtem, niż żeby mnie mój syn miał nie poznawać!

Natychmiast Bóg ją wysłuchał – i na nowo była starą kobietą jak przedtem, a syn w radości ucałował jej ręce i nogi. I od tego czasu ludzie przestali się odradzać i zaczęli umierać.

– O Boże, jaka to szkoda! – westchnęła mimo woli pani Emilia, patrząc na kwieciami obsypany ogród.

– Istotnie można by powiedzieć, że tym razem miłość macierzyńska źle się zasłużyła ludzkości. Zdaje się jednak, że nie wszystkie osobniki podległy tej klątwie. Bywa mianowicie u niektórych osób, że te w bardzo późnym wieku odzyskują całkowitą młodość. Niepodobna⁶ wyjaśnić, w jakich

⁵ *ad infinitum* (łac.) – w nieskończoność. [przypis edytorski]

⁶ *niepodobna* (daw.) – nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

warunkach odrodzenie to następuje, gdyż medycyna, która skrzętnie notuje takie wypadki, zna ich dotychczas bardzo niewiele i nic określonego powiedzieć o nich nie może. Po prostu konstatuje fakt i zaznacza jego objawy. Zdarzyło się, że właśnie byłem świadkiem jednego z tych niezmiernie rzadkich u ludzi faktów; szczegółowo też opisałem go w rocznikach Akademii paryskiej, dodałem nadto fotografie, które przy okazji państwu pokażę. Za moich młodych lat, jako student drugiego roku medycyny, bywałem u Stankiewiczów, w Podobłoczcu, w okolicach Płocka. Przyjaźniłem się tam z Janem Kowalskim, który mieszkał w sąsiedztwie; kochał się w pannie Zofii Stankiewiczównie, dzisiejszej swojej żonie; ja zaś kochałem jego siostrę, ale nie ożeniłem się z nią, gdyż wykazałem najosobliwszą *inconstance*⁷ wobec p. Jadwigi. Niewątpliwie p. Jadwiga była na mnie słusznie obrażona, ale stanąłem wobec tak wyjątkowego *coup de foudre*⁸, że czuję się zgoła niewinny. Nie będę opisywał domu Stankiewiczów, gdyż w tej chwili istnieje dla mnie tylko jedna osoba, mianowicie pani starsza, babka właściciela Podobłoczca, którą wszyscy nazywali „babunią”, choć w istocie była prababką. Miała ona lat dziewięćdziesiąt jeden, to znaczy trzynaście razy po siedem. Podkreślam to, gdyż muszę tu przypomnieć, że organizm ludzki co siedem lat całkowicie się odnawia; wszystkie jego komórki odradzają się, jak nowe rośliny. Oczywiście im wiek późniejszy, tym bardziej charakter

⁷ *inconstance* (fr.) – niestałość. [przypis edytorski]

⁸ *coup de foudre* (fr.) – miłość od pierwszego wejrzenia. [przypis edytorski]

komórek jest inny. U kobiety najpiękniejsze lata są trzy razy siedem, cztery razy siedem, pięć razy siedem, tj. dwadzieścia jeden, dwadzieścia osiem, trzydzieści pięć lat. Potem następuje jakby rozwój wsteczny: mikroby niszczące organizm, mnożą się kosztem mikrobow użytecznych. Oczywiście wiek 13×7 jest tak daleki, że o jakimś odnowieniu realnym mowy tu być nie może; jednakże jest to pewien określony komplet organizmów tak bliski śmierci, że już przez to samo może się stać podatnym do zmartwychwstania.

Granica śmierci a życia jest i na wieki zapewne pozostanie dla nas tajemnicą. Tu jednak stoimy wobec faktu prawdziwego zmartwychwstania, które się ujawniło, zanim jeszcze śmierć dokonała swego dzieła.

Ale nie uprzedzajmy wypadków. W końcu r. 1890 na wakacje Bożego Narodzenia przyjechałem z Jankiem do Podobłocza, gdzie naraz mi się zdarzyło studium lekarskie, wprost niesłychane, a potem znów niemniej niesłychana czekała na mnie przygoda. Właśnie kiedym przybył do Podobłocza, doktor Korynthius, mój poprzednik w Zatoczynie, od dwóch dni już tu siedział, czuwając nad chorą babunią. Ucieszył się bardzo staruszek na mój widok, gdyż pomoc, choć początkującego medyka, była mu bardzo użyteczną.

Moment był tragiczny; wszyscy oczekiwali katastrofy. Babunia była śmiertelnie chora; całymi godzinami leżała uśpiona i nieprzytomna, zupełnie zeszywniała, po czym budziła się w konwulsjach. Doktor Korynthius nie był w stanie określić

choroby; z początku sądził, że to drętwnica, ale znów epileptyczne drgania chorej przeczyły temu przypuszczeniu. Już trzeci dzień mijał od chwili, gdy babunię trzeba było położyć do łóżka; było jej wciąż niby to gorzej, niby to lepiej; w ogóle stan dziwnie nieokreślony i niepodobna było oznaczyć, w jakim organie skoncentrowaną jest energia choroby. Już to zdawało się serce, już płuca, już przepona brzuszna jest zaatakowana, gdy oto nazajutrz straszny ból dziąseł albo głowy, albo znowu cierpienie nerwu ocznego zbijało nas z drogi.

Staruszek doktor chwilami pytał mnie niespokojnie:

– I cóż o tym myślicie, panie kolego? Babunia nigdy w życiu nie chorowała. Było to wcielenie zdrowia, siły, równowagi ducha, tego spokoju psychicznego, który panuje nad ciałem. I oto naraz...

Prawdę mówiąc, nic nie myślałem. Ponieważ zajmowałem się wówczas tajemnicą śmierci, śledziłem bacznie przejawy umierania, gdyż oczywiście nie oczekiwałem na nic innego, jak na ostateczny rozkład tego egzemplarza ludzkiego.

Babunia zresztą, choć tak chora, mało co zmieniła się na twarzy – i spod niebieskiej kołdry wyglądała na białych poduszkach jej sympatyczna głowa, która do ostatka zachowała wielką czystość i szlachetność rysów, choć policzki miała pomarszczone. Poeta wyraziłby się, że zachowała niezatarte ślady piękności. Tego nie powiem, ile że nad łóżkiem babuni na ścianie wisiał w stare okrągłe ramy oprawny portret jej z czasów, kiedy miała lat dziewiętnaście; był to portret cudnej dziewczycy

w kostiumie z epoki Księstwa Warszawskiego. Nieznanego nazwiska, ale dobry malarz odtworzył jej bystre, ciemnobłękitne oko, żywe i przenikające; usta jak wiśnie, w czarodziejski uśmiech zakłęte – i bujne, złote, w całym znaczeniu tego słowa złote, bladozłote włosy, spięte w loki.

Z obrazu tego patrzyło na cię zjawisko nadziemskie, marzenie przedziwne, które jedną chwilę trwało na ziemi i minęło na wieki. Jednakże widok ten i wyobrażenie tej istoty jako żywej, miało w sobie coś rozrzewniającego. Dziś babunia była prawie bezzębna, głowę jej pokrywały kępki siwych, krótkich włosów; oczy półzagasłe patrzyły na świat dobrotliwie, ale niby czekając z rezygnacją wyroku losów. Uśmiech tylko pozostał zawsze miły i słodki, choć nie ten sam, co na portrecie; tamto był uśmiech nadziei, to zaś pożegnania. Babunia była osobą wzrostu drobnego, trzymała się zawsze prosto, gdyż sił żywotnych miała wiele i dopiero od kilku lat zarzuciła konną jazdę, w której niegdyś była mistrzynią.

Nigdy, chyba w dzieciństwie, nie chorowała, toteż nie dziw, że jej choroba wywołała ogólne przerażenie, zwłaszcza że babcia była przez wszystkich kochana.

Pierwszym objawem choroby było zemdlenie, trwające blisko dwanaście godzin: nie byłem jeszcze w Podobłoczcu i wiem o tym od dra Korynthiusa. Doktor przyjechał w jakie trzy godziny po omdleniu chorej – i, chociaż stosował wszystkie środki w takich przypadkach wskazywane, nic nie mógł dopomóc chorej. Dopiero po pewnym czasie chora przebudziła się sama;

była zupełnie przytomna, tylko miała dość silną gorączkę. – „Kostucha mi się kłania – mówiła półzartem. – Czas bo na mnie wielki”.

Doktór ją pocieszał, jak mógł, choć sam nie wierzył w szczęśliwy koniec tej sprawy; na drugi dzień chora wpadła w rodzaj parogodzinnej epilepsji, która ją strasznie zmęczyła, tak że blisko dobę całą była pogrążona we śnie głębokim i dziwnie spokojnym, ale się przebudziła w nader obfitych potach.

W tym właśnie czasie przyjechałem z Jankiem do Podobłocza i doktor zaprosił mnie na konferencję, z czego, oczywiście, jako młody medyk, byłem nadzwyczaj dumny. Doktor nie umiał dotąd nazwać choroby; ja zaś wysilałem całą swoją bardzo zaczątkową wiedzę, aby sobie przypomnieć zjawisko podobne; jednakże nic takiego dotychczas jeszcze nie widziałem.

Czuwałem nad babunią przez całą noc. Spała kamiennym snem, ale chwilami dziwny niepokój był w tym śnie kamiennym. Właściwie nie można było tego nazwać niepokojem; owszem, był to raczej stan przyjemny. Od czasu do czasu przez sen śpiewała dźwięcznym, nie swoim głosem jakieś stare, zapomniane pieśni; to znów wybuchała wielkim śmiechem, ale śmiech ten nie był to śmiech babuleńki, liczącej lat z górą dziewięćdziesiąt, owszem był to śmiech kobiety w sile wieku, zdrowej, tęgiej i energicznej. Pot z jej czoła lał się strumieniami.

Koło szóstej rano przyjechał doktor, ja zaś na chwilę spać się położyłem. O jedenastej znowu poszedłem do niej. Babunia była przytomniejsza; nie leżała w łóżku, ale siedziała w nim i, skoro

tylko wszedłem, powiedziała do mnie na pół ze smutkiem, na pół ze zdumieniem:

– Michasiu, powiedz mi, co się ze mną dzieje? Nic nie rozumiem – i Korynthius nic nie wie.

– Patrz!

I, odsłoniwszy rękawy białego kaftanika, pokazała mi ramię, żółtawe, powiędłe, pomarszczone ramię staruszki. Owóż miejscami na tym ramieniu występowały plamy białe, niby kość słoniowa, twardej konsystencji – tak, żeśmy się obawiali jakiegoś ogólnego skostnienia czy stwardnienia organizmu.

Trzeba zaznaczyć, że tego dnia chora czuła się wcale⁹ nieźle; owszem, przybytek sił był dość znaczny i apetyt wcale dobry.

Nazajutrz te białe plamy ukazały się na czole, na plecach, na nogach i w ogóle na całym ciele; natomiast włosy wszystkie powypadały z głowy, a na ich miejscu wyrósł drobny, biały meszek, przy tym – *mirabile dictu*¹⁰ – w dziąsłach ukazało się kilka białych świeżych zębów, jak u małego dziecka. Zmiana też nastąpiła w strunach głosowych; babunia już nie mówiła teraz drżącym głosem staruszki; słyszałeś, owszem, dźwięk metaliczny, głęboki sopran, świeży i melodyjny.

Ponieważ w owych czasach wraz z Jankiem uprawialiśmy fotografię amatorską i przywieźliśmy tu swe aparaty, nie zaniedbałem też sprawy pod tym względem i co kilka godzin robiłem zdjęcia, które później przesłałem Akademii paryskiej.

⁹ *wcale* (daw.) – całkiem. [przypis edytorski]

¹⁰ *mirabile dictu* (łac.) – aż dziw powiedzieć. [przypis edytorski]

Owóz w kilka dni potem żółta, pomarszczona, starcza skóra zupełnie znikła – i całe ciało babuni przybrało barwę białą kości słoniowej, barwę, co przedtem tylko w plamach była po nim rozsypana. Słowem ciało się wygładziło dokoła, ale nie było sztywne i odrętwiałe, jak tego oczekiwaliśmy; przeciwnie, stało się naraz giętkie, elastyczne i silne, a w ścięgnach nader sprężyste. Twarz i czoło wyrównały się i nabrały alabastrowej białości. Dodam, że już tego dnia poprzez ową białość alabastrową zaczęła przeświecać żywa barwa czerwono-różowa, a pulsa bić poczęły z niepospolitą a harmonijną szybkością. Zęby niemal wszystkie odrosły, białe i kształtne, jak podłużne perły; usta zaś nabrały barwy wiśniowo-malinowej, a grzybkowaty ich układ zniknął zupełnie; były to usta młodej osoby. Biały meszek na głowie w kilka dni się rozwinął w bujne, jedwabne, złociste włosy, a w oczach zaczął naraz błyszczeć żywy blask i ogień, pełny radości i uśmiechu, przenikający i głęboki.

Słowem staliśmy wobec niepojętego zjawiska i powoli budziło się w nas jego rozumienie, choć nie byliśmy w możności określić jego istoty. Nie – choroba naszej babuni – to nie była śmierć, to było odrodzenie, to było zmartwychwstanie. Było to całkowite przekształcenie komórek organizmu, który przeszedł trzynastcie cykliów po siedm lat, i w którym, dzięki szczególnemu zbiegowi okoliczności, mikroby życiodawcze unicestwiły całą złośliwą potęgę 37 miliardów mikrobów chorobotwórczych i śmiertelnych, unicestwiły, krótko mówiąc, tę całą bierną niemoc, która powoduje w naszym organizmie nędzę i chorobę,

zwaną: starość. Słowem, choroba naszej babuni była to nowa młodość, nowe życie...

Choroba babuni szła teraz *crescendo*¹¹, jak cudowne zjawisko. Po kilku tygodniach, w sam dzień Bożego Narodzenia w naszych oczach po prostu babunia, licząca lat dziewięćdziesiąt i jeden, przemieniła się w młodą, czarującą, dziewiętnastoletnią pannę – tę samą, której portret z r. 1818 wisiał nad jej łóżkiem.

Niewątpliwie przez najbardziej tajemniczą, dotychczas niewytłumaczoną przemianę materii organicznej (czyż tylko organicznej? – zdaje mi się, że głównym czynnikiem była tu psychika, utajona energia duszy babuni, duszy pięknej, czystej, harmonijnej, panującej właśnie nad organizmem, owszem samodzielnie go kształtującej) – niewątpliwie przez ten cud babunia przestała istnieć.

To znaczy: przestała istnieć jako babunia, choć nią w rzeczywistości była dalej, a zamiast niej ukazała się nowa, czy też odnowiona istota, sama sobie matka czy też córka – przepiękna dziewczica, panna Klementyna, która ciałem swoim miała teraz lat dziewiętnaście, ale której duch zachował wszystką mądrość i doświadczenie ubiegłych blisko stu lat życia, owszem podniecony był jeszcze tą nową wiosną i nowym odrodzeniem.

Trzeba zauważyć, że ani my, ani sama babunia tak od razu nie zrozumieliśmy dobrze tego nowego jej położenia na świecie.

Zwłaszcza babunia chwilowo zatraciła poczucie czasu – i mieszało się w niej naraz dwojakie zjawisko. Już to czuła się

¹¹ *crescendo* (wł., muz.) – coraz głośniejsze, tu: wzmacniające się. [przypis edytorski]

ona prababką całej gromady osób, zamieszkałych w Podobłoczcu; już to znowu roiło się jej, że jest realnie tą dziewiętnastoletnią panną Klementyną ze starego portretu i że właśnie jest rok 1818.

– Michasiu – mówiła do mnie – dowiedz się, czy dzisiaj będzie na teatrze reduta¹², bo właśnie pan Stanisław Okraszewski napisał śliczny wiersz, którym zaprasza mnie do angleza¹³. Ach, taki czuły i romansowy wiersz, że łyży się cisną do oczu. Pan Stanisław to pewnie dziś największy poeta, kawaler piękny i dzielny oficer... Dlaczego to Zuzia nie przychodzi? Posłałam ją do panny de Latour po suknię na dzisiejszy wieczór...

I naraz śmiać się zaczęła srebrzystym, szczerym śmiechem dziewczęcym.

– Cha, cha! Co za złudzenie! To przecież dawno miniona przeszłość. Wszystko mi się pomieszało! To zabawne! Jakież to rok mamy teraz?

– 189...

– Boże drogi, jak to czas płynie... Przecież ja mam lat ośmdziesiąt...

Nawiasowo tu dodam, że babunia nigdy się nie chciała przyznać do swego wieku i poza liczbę 80 za nic w świecie nie wychodziła.

– Ośmdziesiąt lat, a tymczasem czuję, że właśnie jestem młodą, jak Zosia lub Natalka. To przecie dziw! Nie mogę

¹² *reduta* (daw.) – publiczny bal maskowy. [przypis edytorski]

¹³ *anglez* – popularny w XVIII i XIX w. taniec pochodzący z Anglii. [przypis edytorski]

się połapać. Więc ja na nowo się urodziłam, na nowo życie rozpoczynam! Co za osobliwa choroba. Czy to się często zdarza? ... Ach, co za rozkosz!

Tak szczebiotała, a ja z niepojętym zachwytem spoglądałem na nią. Nie widziałem nigdy takiego upojenia życiem, takiej eksplozji radości, jak w tej zmartwychwstałej i odrodzonej osobie, świeżej jak rozkwitła róża z lilią połączona.

– Babunia – rzekłem – jest odrodzona jak Feniks¹⁴ – i mogę śmiało powiedzieć (tak mówiłem dalej, choć niezupełnie ściśle), że to zmartwychwstanie jest moim dziełem.

– Wdzięczną ci też będę do końca życia, ale proszę cię, nie nazywaj mnie babunią, bo to jakoś nie wypada tak tytułować młodą pannę...

– A więc – panno Klementyno.

– Tak, tak – rzekła z czarownym uśmiechem, pełnym szczególnej kokieterii, a przypatrując mi się przez chwilę bardzo uważnie, dodała:

– Ach, jak ty jesteś podobny do p. Stanisława Okraszewskiego, który się we mnie kochał w roku 1818.

– Gotów jestem naśladować pana Stanisława jak najgorliwiej – i tak samo jak on będę panią kochał – zawołałem pomimo woli, ale tak szczerze i tak głęboko, że naraz poczułem w sobie tę nową a niespodziewaną prawdę: kochałem tę zmartwychwstałą kobietę, kochałem samo to jej zmartwychwstanie.

– Ach, jak to będzie ładnie! – klasnęła w ręce babunia,

¹⁴ Feniks – mityczny ptak, odradzający się w płomieniach. [przypis edytorski]

a potem w komicznym zakłopotaniu rzecze: – Tak, ale co na to powie moja wnuczka Helunia, co powiedzą jej córki, Zosia i Natałka?

– Nikt na to nic powiedzieć nie może.

I przypomniawszy sobie coś z podróży po Australii, które czytałem jeszcze w gimnazjum, dodałem:

– Na wyspach polinezyjskich, gdy mężczyzna przy ślubie wierność przysięga kobiecie, wygłasza taką formułę: „Ja jestem śmiertelny, tyś jest nieśmiertelna”. A któż jest bardziej nieśmiertelny, niż pani, babuniu... to jest, panno Klementyno!

– Ślicznie to powiedziałaś. Zupełnie jakby pan Stanisław. Czy naprawdę jestem nieśmiertelna? Nigdy nie umrę? nigdy?

– Tak myślę – tak wierzę...

– O mój Boże, za cóż takich łask zaznałam? Sama nie wiem – mówiła dalej, opuszczając oczy – sama nie wiem, czy mi wolno powiedzieć to, co chcę powiedzieć...

– Pani ma wyjątkowe stanowisko, wyjątkowe przywileje na ziemi. Śmiało niech pani mówi.

– Powiem ci, mój Michasiu, że nigdy serce moje nie płonęło tak gorąco jak dzisiaj... Kocham ciebie, jak nigdy nie kochałam nikogo... Gdybym miała tak naprawdę lat dziewiętnaście, nie wypadałoby mi tego mówić, ale przecież ty wiesz, że ja mam koło... no, mniejsza o to. Tobie zawdzięczam wszystko, bo moja młodość, moje życie jest twoim dziełem...

W tym duchu prowadziliśmy rozmowy z babunią, a to niemal nadprzyrodzone zjawisko rzuciło na mnie taki urok, że

o wszystkim na świecie zapomniałem. I gdy pewnego wieczoru przyjechał do Podobłocza Janek ze swoją siostrą, Jadwigą – czułem, że stało się coś tragicznego w moim życiu – i nie tyle w moim, ile w życiu Jadwigi.

Nie, już nie kochałem siostry Janka. Zapewne było to z mojej strony źle i brzydko, że ją zdradziłem i porzuciłem – ale czyż by mnie nie uwolnił każdy sąd, każdy trybunał?

Klementyna – zjawa nadziemska – opanowała mą duszę. Jej przemiana była cudem i ona sama była cudem: jakże miałem nie ulec tej wyższej potędze? Czytałem w oczach Jadwigi niemy wyrzut, ale milczenie moje dało jej do poznania, że między nami wszystko skończone. Swoją drogą żał mi było serdecznie Jadwigi, cios jednakże był tak niespodziewany, że nikt by rady nie znalazł.

Natomiast miłość moja do Klementyny rosła z dnia na dzień; i ona sama też rozwijała się, kwitła, dojrzewała, promieniowała do apoteozy. Przebóstwiona, nieśmiertelna istota ludzka.

Szczególnie zachwycająco wyglądała w noc sylwestrową. W Podobłoczu był wielki wieczór taneczny. Ponieważ wieść o cudownej metamorfozie babuni rozeszła się szeroko i daleko, więc też gości zjechało się do nas bardzo wiele.

Istotnie Klementyna była królową balu. Nikt, jak ona, nie tańczył z takim wdziękiem walca, oberka, mazura. Nikt nie promieniał tak niepospolitą urodą, ani kostiumem ani dowcipem.

Jej błyszczące oko, różowe usta, jej złote włosy, jej postać wysmukła i wytworna – wszystko to w ową srebrną noc zimową wydawało się niby zjawisko ze snu nocy letniej. I ona – ona mnie

kochała – i byłem szczęśliwy, bez miary szczęśliwy. Otwarcie mi powiedziała, że wtedy, w roku 1818 była bardzo głupia (»*Ah, si jeunesse savait*¹⁵!») i że dopiero potem zrozumiała różne rzeczy („*si vieillesse pouvait*¹⁶!”), i właśnie ona ten wyjątkowy stan osiągnęła.

Powiem wam tedy, żeśmy się potajemnie zaręczyli, o czym nikt nie wiedział; tylko Jadwiga, kierowana instynktem, odgadła nasz sekret. Byłem szczęśliwy i nie opuszczałem Podobłocza, choć należało wracać do Warszawy. Czekałem jednak okazji, aby wraz z Klementyną wyjechać do miasta i aby móc ją poślubić.

Było nam śpieszno. Chciałem szukać posady, opuścić szkołę lekarską. Oboje nie chcieliśmy czasu marnować.

A jednak się spóźniliśmy.

Blisko miesiąc byliśmy w niebie, w niebie cudów i marzeń. Ale nieszczęście czyha: dnia dwudziestego stycznia Klementyna po powrocie ze ślizgawki, pełna humoru i wesołości, zasiadła do podwieczorku. Ten cudowny powrót do życia i młodości oczywiście sprawił to, że babunia żyła w nadzwyczajnym podnieceniu. Jako lekarz powinien byłem przewidzieć, że nadmierna ekspansja energii życiowej – może tu do fatalnych doprowadzić wyników. Niestety, byłem zaślepiony i nieprzytomny.

Owego wieczoru właśnie Klementyna, wśród najweselszej

¹⁵ *Ah, si jeunesse savait* (fr.) – ach, gdyby młodość wiedziała. [przypis edytorski]

¹⁶ *si vieillesse pouvait* (fr.) – gdyby starość mogła. [przypis edytorski]

rozmowy, naraz pochyliła głowę i niespodzianie zamilkła.

O zgrozo, zamilkła na wieki. Gdym się zbliżył, aby zbadać jej puls, poznałem straszliwą prawdę. Klementyna umarła od udaru sercowego, umarła z nadmiaru życia i radości.

Nie będę opowiadał o swojej rozpacz. Odrodzenie babuni był to cudowny, ale nietrwały wyskok natury, promień słońca, wychodzący z mogiły. Może oboje, nie ceniąc i nie czcząc, jak przystoi, tego objawu siły boskiej, nadużyliśmy go niewłaściwie i zostaliśmy za to ukarani. Kwiaty jesienne rychło przemijają...

Władca czasu

We czwartek, z powodu rekreacji popołudniowej – profesor Jan Kanty Szelest wrócił już koło godziny pierwszej do domu, gdzie mu stróż wręczył list oraz mały pakiecik, przyniesiony przez pocztyliona. Zarówno list, jak i pakiet datowany był z Indii i pochodził od Symforiona Larysza.

Larysz był to znany uczyony, który z górami rok temu udał się do Indii dla badań nad psychofizyką braminów¹⁷ oraz innymi sprawami, związanymi z tym przedmiotem.

Larysz znany był głównie w świecie naukowym jako wynalazca nowego mikroskopu, zwanego metamikroskopem. Najdoskonalszy mikroskop nie powiększa przedmiotów więcej niż 1500 do 2000 razy. Ciało rozmiarów 0,0001 milimetra przybiera w nim wielkość 0,15 do 0,2 mm.

Metamikroskop Larysza zbudowany był w ten sposób, że za pomocą całego szeregu zwierciadełek wklęsłych i wypukłych, połączonych z mikroskopem ulepszonym, badane ciało odbijało się na ekranie w powiększeniu milionowym, czyli sięgało rozmiarów jednego metra.

Profesor Szelest studiował botanikę i badał tajemnice budowy roślin; interesowało go zwłaszcza krążenie soków, rozwijanie się komórek i zjawisko wzrastania. Uchwycić

¹⁷ *bramin* – kapłan indyjski. [przypis edytorski]

wzrastanie na gorącym uczynku, ujrzyć istotę wewnętrzną tego fenomenu, przeniknąć objawy, które z tym faktem się łączą – oto było marzenie Szelesta. Prof. Szelest z niezmiernym entuzjazmem powitał metamikroskop Larysza, ale ta konstrukcja nie rozwiązywała jeszcze trudności; dla celów, jakie sobie założył był Szelest, konieczne było opanowanie czasu; jak opanować czas? jak rozciągnąć moment w bezmiary? Słowem, jak uczynić dla kategorii czasu to, co dla kategorii przestrzeni robi mikroskop? Nad tymi zagadnieniami nieraz długie rozprawy toczył Szelest z Laryszem.

Larysz w sprawie istoty czasu miał swoje własne, choć niezupełnie rozjaśnione poglądy i liczył, że mu psychofizyka indyjska niektóre braki jego myśli uzupełni. Od dawna wybierał się do Indii – i, gdy wreszcie plan swój urzeczywistnił, zapowiedział, że w danym razie natychmiast go zawiadomi o wyniku swych poszukiwań. Toteż prof. Szelest żarliwie list pochwycił do rąk i otworzył pakiecik. W przesyłce była niewielka flaszeczka, zawierająca sto gramów czerwonego płynu, barwy soku wiśniowego. Na wierzchu miała białą kartkę w literach indyjskich, których Szelest nie umiał odczytać, oraz niżej w literach łacińskich: *anehaspati*.

Oto są słowa listu:

„Kochany Janie Kanty! Mogę ci nareszcie przestać szczęśliwą wiadomość o naszej sprawie. Przypadek usłużył mi doskonale.

Czy pamiętasz naszego kolegę z Paryża, Indyjczyka Radzendra-Lalamitrę? Był to człowiek zarówno głęboko

wtajemniczony we wszystkie dziedziny wiedzy europejskiej, jako też i w prastarą mądrość braminów. Nie da się zaprzeczyć, że o ile Europa w technice doszła do wysokiej doskonałości, o tyle zaniedbała śledzenie tajemnic duszy ludzkiej. Nie dziw też, że co do znajomości zjawisk psychicznych, jesteśmy po prostu dziećmi wobec nieograniczonej, bezdennej wiedzy braminów w tym przedmiocie.

Przybywszy do miasta Hastinapury, szczęśliwie spotkałem się z Lalamitrą, który zresztą przeważnie oddał się sprawom politycznym. Dzięki niemu jednakże poznałem się z kilku braminami, jak Nisikanta, Czandraloka, Ramasita i innymi, ludźmi ze wszech miar godnymi najwyższego szacunku, zarówno dla swej cnoty, jako też mądrości. Ludzie ci zastanawiali się niemało nad istotą czasu. Jest to kategoria wcale¹⁸ odmienna od przestrzeni, jakkolwiek ściśle z nią skoordynowana. Czas ma wartość nie tylko zewnętrzną, ale też i wewnętrzną. Jeżeli czytamy w księgach indyjskich, że ten a ten święty żył 10.000 lat – to znaczy tylko, że umiał on godzinę rozciągnąć na setki lat; dzięki potędze swego ducha pomnażał czas wedle woli i zwiększał po stokroć swoje życie, nadając mu niesłychaną intensywność. Podług mądrości indyjskiej dziś i wczoraj i jutro – jest to zawsze to samo. Minuta jedna, strawiona w najwyższej potędze ducha, znaczy tyle, co sto lat; na odwrót sto lat, przeżytych roślinnie albo mineralnie, znaczy tyleż, co jedna minuta. Rozciągłość czasu zatem leży w naszej mocy, o czym

¹⁸ *wcale* (daw.) – całkiem. [przypis edytorski]

wiedzą Hindowie i, o ile sobie przypominam, mówił nam Lalamitra, że nawet mają oni pewną tajemniczą roślinkę, która się zowie *panem czasu*, a która mechanicznie to czyni, do czego inni dochodzą wewnętrzną doskonałością. Bramini mianowicie mają dwie metody utrwalenia, przewyższenia potęgi czasu, panowania nad nim, wreszcie wprost wychodzenia poza więzy czasu.

Metoda pierwsza, wyższa – dostępna jest tylko tym, którzy osiągnęli największą dostojność ducha; dzięki długiej uprawie naszych sił duchowych czas na nasz rozkaz się zatrzymuje, cofa w najdalsze wczoraj lub płynie w nieznanne jutro; ściga całe wieki w jedno mgnienie, lub przeciwnie jedną minutę rozciąga na długie stulecia; na koniec stosownie do naszej woli czas znika zupełnie, stajemy poza granicą wszelkiego postrzegania czasu, innymi słowy zdobywamy nieśmiertelność. Druga metoda, niższa – opiera się na podkładzie fizjologicznym, mianowicie na zażywcze pewnej jagody. Ta druga metoda, mówił mi Nisikanta, dla was, Europejczyków, istot gruboskórnych i mięsożernych – jest odpowiedniejsza, choć nietrwała; pierwszą dopiero za tysiąc lat zrozumiecie.

W towarzystwie kilku braminów wyruszyłem w góry Himalajskie, aby dostać tę roślinkę. Jest to trawka, zwana *anehaspati*, tj. pan, władca czasu; przypomina nieco naszą niepokalanekę czyli *agnus castus*, ma drobne jagódki pięknej barwy, jak *nertera depressa*. Smak miły – kwaskowaty. Trzy lub cztery jagody wystarczą dla wywołania skutku na 15–20 minut

naszego czasu pospolitego, który zamienia się w setki i tysiące lat – prawie natychmiastowo.

Roślina ta jest bardzo rzadka; rośnie tylko na dwóch szczytach wysokich na 10–12.000 metrów, zwanych Tatravanta i Matravanta. Droga prowadzi tam piękna, lecz stroma i niebezpieczna. Jednakże moi przewodnicy bramini doprowadzili mnie szczęśliwie na szczyty, gdzie zebrałem sobie znakomity zapas *anehaspati*. Po powrocie do Hastinapury zażywałem kilkakrotnie tę roślinkę w postaci jagód i przekonałem się, że jej działanie jest wprost cudowne. Mechanicznie rozciągnąwszy czas, widzisz zjawisk 4–5 tysięcy razy więcej niż normalnie, albo raczej rozbierasz jedno zjawisko na 4–5 tysięcy oddzielnych momentów, przy czym całość przybiera kształty zupełnie nowe, niespodziewane, odmienne od naszej pospolitej spostrzegawczości.

Badania mikroskopowe przy pomocy *anehaspati* otwierają nam światy nieznanych dotychczas tajemnic. Przesyłam ci tę roślinkę w formie syropu, gdyż lękam się, aby jagody w tak długiej przeprawie nie zatraciły swej własności. Syrop jest trwały, choć oczywiście nie działa tak potężnie, jak świeża roślina. Bierz na jedno doświadczenie nie więcej, nad 10–12 kropel, najlepiej w kieliszku dobrego wina burgundzkiego. Uprzedzam cię, że po zażyciu wpadniesz w jedno lub dwuminutowe omdlenie; potem jednak natychmiast, jakby z odnowioną duszą, możesz do badań przystąpić. Bądź zdrow i pisz mi do Hastinapury o wyniku swoich doświadczeń.

Radżendra-Lalamitra przesyła ci serdeczne ukłony; również i moi mistrze-bramini, którzy cię znają z moich opowiadań. S. Larysz.”

Profesor Szelest był oszołomiony. Już czuł się panem czasu, już bez namysłu chciał wypić dziesięć kropel nadesłanego mu płynu, ale się wstrzymał.

– Spokoju, spokoju! – powiedział sobie i przede wszystkim mikroskop przygotował, ekran nastawił. Potem zaczął wśród preparatów wybierać ten, który mu się zdawał najwłaściwszy. Miał tam różne pleśnie i grzybki, w parafinie utrwalone; miał bakcyle, mikrokokki, spirochety; miał *Laboulentiales*, niewidzialne mchy, kwitnące na ciele żuków wodnych itd. Miał wreszcie porost barwy złoto-zielonawej, który sam odkrył na kwiatach fuksji, a który od imienia kobiety umiłowanej niegdyś i utraconej zbyt szybko – nazwał *Vandamaria Szelesti*.

Ten więc porost wybrał nasz profesor do badań. W odpowiednie miejsce mikroskopu włożył szkiełko z preparatem, nastawił zwierciadełka i rzucił na ekran.

Zapuścił story¹⁹ w laboratorium i natychmiast ujrzał na płótnie obraz, który nie wiadomo dlaczego wydawał mu się dzisiaj zamglony. Obraz ten rozmiarów prawie jednego metra ukazywał się jako nagromadzenie wodnisto-zielonych kulek ze złotawymi jąderkami; szkliste soki toczyły się z energią poprzez komórki, błyskając tęczowo; potem nastawała ciemność.

¹⁹ story – zasłony. [przypis edytorski]

Profesor nastawił aparat fotograficzny i zjął obraz²⁰. Dopiero wówczas zaczął się przygotowywać do nowej, nieznaney pracy. Wziął nowy preparat *Vandamarri* – i umieścił go w mikroskopie. W uroczystym nastroju ducha wypił 12 kropel płynu, z Indii przysłanego – i czekał na wrażenie. W pierwszej chwili nie czuł żadnej zmiany, ale wnet pociemniało mu w oczach i zdawało mu się, jakby zapadał w sen pod chloroformem. Był jednak dość przytomny, aby śledzić stan swego ducha; czuł, że jakiś fluid nowy się w nim rozwija; niby to był on, ten sam co poprzednio, a przecież inny.

Szelest nazwał później ten fluid: *multiplicator temporis*²¹. Patrząc dokoła – czuł raczej niż widział, że świat znieruchomiał; chwilę nasz badacz znajdował się w bezwzględnej ciemności i znieświadomieniu.

Naraz²² się zbudził, bardziej ześrodkowany w duchu niż kiedykolwiek. Czuł w sobie jakby nową potęgę, powiedzmy – bardzo natężone poczucie nowego, czwartego wymiaru – czasu.

Spojrzał na zegarek: była godzina 2 minut 12 sekund 37 tercji 5, co szybko zapisał.

Na ekranie miał przed sobą obraz ten sam, co przedtem, ale wnet mgła, przesłaniająca jego tajniki, rozwinęła się i szczegóły wydobywały się wciąż wyraziściej.

To, co uważał za komórkową plazmę, była to jakby zielonawo-

²⁰ *zjąć obraz* (daw.) – zrobić zdjęcie, sfotografować. [przypis edytorski]

²¹ *multiplicator temporis* (łac.) – pomnażacz czasu. [przypis edytorski]

²² *naraz* (daw.) – nagle. [przypis edytorski]

srebrna mgławica, niezmiernie szybko wirująca dookoła osi. Naraz mgławica ta zapłonęła purpurowo i rozpadła się na kilkanaście kulek mniejszych i większych; jedna z nich, centralna, miała rozmiary pomarańczy katańskiej, barwę żółtopąsową i w ciemnym laboratorium nawet rzucała rodzaj promieni. Inne – mniej świetne, ale jaskrawe kulki, z odcieniem zielonym – zaczęły krążyć dookoła tej wielkiej kuli czerwonej, każda po swoim kole albo raczej po elipsie.

Światło tych kulek bladło powoli i gasło, gdy pomarańcza wciąż świeciła. Krążąc, owe kulki zwracały się raz jedną, raz drugą stroną ku pomarańczy i gdy z jednej strony były oświetlone, z drugiej tonęły w ciemności. Jedna zwłaszcza kulka, najzieleńsza, zwróciła uwagę Szelesta.

Nakręcił odpowiednie zwierciadełko mikroskopu tak, że wszystkie kulki wraz z pomarańczą zniknęły i pozostała tylko jedna, którą Szelest nazwał *Mea*, tj. moja; zajmowała ona cały ekran. Błękitnawa, jakby eteryczna błonka otaczała całą sferę Mei. Kula ta krążyła nieustannie dookoła swej osi i raz była świetlana, jakby złota, raz znowu zielonawoszara. Im bliżej się profesor przyglądał ruchom na tej kuli, tym wyraźniej widział olbrzymie przewroty na jej powierzchni; od czasu do czasu z jej wnętrza buchały jakieś dymy i ogniki, to znowu płyn bezbarwny, niby wodospad, walił z błonki, otaczającej kulę.

Na tej powierzchni Szelest rozróżnił dwojaki pokrycie: twardsze, zielonawo-brunatne, które nazwał „łędem”, i błękitnawo-płynne, które nazwał „wodą”. Naraz z błony

zewnątrznej zaczął padać białuchny proszek, niby mąka, a to, co nasz uczony nazwał wodą, przybrało postać szkła. Wybuchy ogniowe ucichły, a to, co Szelest określił jako ziemię i morze – na pewien czas się ustaliło.

Jakby w natchnieniu Szelest wynalazł sobie metodę liczenia obrotów tej kuli i obliczył, że od chwili, gdy ją ujrzał po raz pierwszy w blaskach wielkiej pomarańczy, minęło cztery tysiące lat; od chwili zaś, gdy ujrzał mgławicę *Vandamarii*, lat siedem tysięcy.

Mea była ostatecznie sformowana. Szkło na nowo przybrało postać płynną, a biały proszek zniknął i kula zaczęła się pokrywać mchem zielonym, porostami cudnych kształtów, a w przezroczystym płynie (morzu) ukazały się kolorowe istoty, niewątpliwie żywe, podobne do bakcyliów i wrotek. Inne zaczęły biegać w mroku mchów i paproci, a niektóre latały po powietrzu. Nie mógł oczywiście profesor inaczej nazwać tych tworów, jak florą i fauną Mei.

Tu Szelest uderzył w pewien sztyfcik mikroskopu, a znakomita część kuli zniknęła; pozostał tylko jej szmat powiększony do rozmiarów metra. Szmat pozornie był nieruchomy. Ujrzał wtedy profesor niby krajobraz, w którym można było odróżnić (mówiąc po ziemsku) brzeg morza, skały, lasy, puszcze. Tysiące żywych infuzoriów krążyło po tych przestworzach, pożerając się, walcząc ze sobą, mnożąc się, rosnąc i umierając. Pokolenia mijały za pokoleniami, lata i wieki płynęły, a świat ten się rozwijał coraz barwniejszy i coraz

pełniejszy zjawisk nowych.

Śród mieszkańców Mei ukazał się twór, podobny do jaszczurki, który zaczął naraz chodzić na dwóch tylnych nogach, a przednich używał do walki z innymi. Ten kangur osobliwy (*Baccillus bipes Szelesti*) był różnych barw: czerwony, żółty, czarny, biały, niebieski. Szelest zauważył, że ten Przecinek, skaczący jak pchła, a przednimi łapami wyrywający z ziemi mchy i paprocie, walczył ze wszystkimi tworam w wodzie, w lasach i w powietrzu. Nadto zaś jaszczurki owe łączyły się ze sobą, stosownie do koloru – i prowadziły zażarte wojny.

Biała gromada pożerała czarną, niebieska czerwoną itd. Bakcyle te jednak z niesłychaną energią pracowały, tworząc niby mrowiska. Wydobywszy jakieś świecące blaszki, zaczęły rąbać lasy i skały, budować pryzmatyczne, gliniane domki (niby termity); w łupinach puszczały się na morze.

Niedługo też – w wielu miejscowościach – zmieniła się postać Mei; lasy poznikały, a na wyrębach ukazała się sztucznie hodowana śnieć. Mrowiska otaczano jakby obwarowaniem. Jaszczurki te, jak wiemy, nie żyły ze sobą w zgodzie i na wzór tego, jak mrówka opanowała mszycę, tutaj gromada biała utrzymywała w stanie mszyc – gromadę czarną; podobnież gromada czerwona – niebieską. Naraz gromada biała wyruszyła wielką masą przeciw czerwonej – i straszna wojna, trwająca długie lata – zawrzała między nimi. Tysiące ginęło, już to białych, już czerwonych; wreszcie czerwoni upadli do stanowiska czarnych, a niebiescy zajęli miejsca czerwonych w dawnym

kraju. I oto znów czerwoni i czarni gromadzili się na jakieś potajemne zebrania – i naraz czerwoni i czarni wyruszyli przeciw białym i niebieskim, i straszną między nimi rzeź sprawili. Teraz zapanowali czarni i czerwoni jako mrówki, a biali i niebiescy służyli im za mszyce.

Był zaś pośród białych jeden ze świecą złotą główką i ten krążył od białych do czerwonych i niebieskich i coś im przekładał... (Niestety, choć rzeczą pewną jest, że owe istoty miały własną mowę – nie masz mikrofonu, co by ją nam utrwalił i zakomunikował!) Z drżenia atmosfery widoczne było, że bakcyle krzyczą oburzone; niektórzy tylko, różnej barwy, stanęli przy złotogłowym, ale pozostała gromada, zbrojna w świeące szpileczki, rzuciła się przeciw nim oraz ich przywódcy – i w mgnieniu oka ich rozsiekli, a złotą główkę odciąższy, wbili ją na długą szpilkę i tak obnosili po mieście.

Obraz ten napełnił melancholią serce Szelesta. Płakał niemal nad tą piękną złotą główką jakiegoś bakcyła najwyższego typu, którego zamordowali barbarzyńcy. Nie chciał już widzieć tej grozy.

Odwrócił sztyfcik i znów wywołał na ekranie całą kulę Mei. Zauważył na niej prawidłowe linie, które w pierwszej chwili porównał do kanałów na Marsie. Tu i ówdzie szły metalowe druciki, po których się toczyły puzderka²³ na kółeczkach. Po morzach płynęły liczne łupinki z jaszczurkami różnych barw. Liczba mrowisk znacznie się powiększyła, ale w wielu miejscach

²³ *puzderko* – pudełko. [przypis edytorski]

było dużo białego proszku. Zwłaszcza koło biegunów znaczne przestrzenie były pokryte niby mączką i szkłem. Z tych stron jaszczurki coraz tłumniej zmierzały do równika. Jakoż kwitnące niedawno lasy znikwały, mrowiska padały w ruinę, a wśród bakcyliów trwała coraz sroższa walka o byt. Tysiące tworów ginęło w śniegach i lodach, a zwłaszcza pyszne władcy owego globu.

Światło dawniej tak promienne, które na Meę padało z wielkiej pomarańczy, było coraz bledsze, a gdy kula odwróciła się na osi – była niemal zupełnie czarna. Momentalnie czas obliczył Szelest; minęło lat trzydzieści tysięcy...

Poruszył znów w sposób właściwy jedno zwierciadełko i znowu ujrzał obraz pierwotny z wielką pomarańczą w środku; ale nie była już ona pąsowa, jak przedtem (tj. 30.000 lat temu); miała odcień blado-żółty, który stopniowo przechodził w biało-szary, węglano-bury i na koniec w zgoła czarny. Noc zapanowała w tym świecie.

Z przerażeniem też widział Szelest, że krążenie kulek dokoła czarnej kuli środkowej – trwało jeszcze pewien czas, a potem ustało – i naraz wszystkie runęły w otchłań, waląc się jedne na drugie. Ciemność zaległa ekran i niewątpliwie profesor miał prawo sądzić, że w mikroskopie coś się zepsuło i że obraz zniknął skutkiem pęknięcia szkiełek. Ale naraz – po czterech tysiącach lat – w samym środku ekranu błysło srebrne oczko – które, zdaje się, na nowo rozpałiło ogień wewnętrzny tych zwalonych na siebie słońc i planet – i wrychle biało-złota, gęsta, płynna masa

zaczęła się toczyć wokoło.

Rzekłbyś, palingeneza²⁴ światów zmarłych.

Siedemdziesiąt dwa tysiące lat przeminęło. Nowy okres bytu się rozpoczął.

Szelest był oczarowany, gotowy modlić się do Brahmy za łaskę, którą obdarzył Larysza.

Jednakże w tej samej chwili, kiedy się zaczynało odrodzenie kosmosu, co zniknął w straszliwej katastrofie, widok cały zbladł i zamarł i Szelest ujrzał na ekranie zwykły, powiększony obraz Vandamarii; splot okrągławych komórek z jąderkami świecącymi, napełnionych sokiem blado-zielonym.

Anehaspati działać przestało.

Szelest spojrzął na zegarek: była godzina 2 minut 32 sekund 51 tercji 38.

Cały ten olbrzymi, na 72.000 lat obliczony przewrót – powstanie i zagłada potężnego systemu globów – trwał 20 minut, 14 sekund i 33 tercje.

²⁴ *palingeneza* – odradzanie się. [przypis edytorski]

Kometa

Rzecz zdumiewająca, że choć od ostatniego zjawienia się komety Halleya w roku 1910 minęło z górą lat sześćdziesiąt, to jednak nikt tego nie zauważył – i wszyscy traktują rzecz tak, jakby owych 64 lat nigdy nie było. Posiadam jednakże niezbity dowód, że te 64 lata były; że mianowicie planeta nasza przeszła okres 1910–1878, a potem znów 1878–1910. W ten sposób czas, ubiegły wstecz i z powrotem, całkowicie się wyrównał, co da się bardzo łatwo wykazać matematycznie.

Ten szczególny fenomen w dziejach kosmicznych nie miał, niestety, żadnego wpływu na historię człowieka. Po prostu tylko wszystko się potoczyło po linii odwrotnej, jak np. odwrócony film w kinematografie. Przeszłość pozostała niezmieniona – i jakby jakieś fatum czuwało nad nami – wszystko odbyło się zupełnie tak samo jak poprzednio.

Nie wątpię, że i wielu innych ludzi mogło zauważyć to zjawisko; nigdzie jednak nie znalazłem o nim wzmianki.

Ja jeden mogę stwierdzić notorycznie, że tak było. Nie mówię, że ten przewrót odbył się dla mnie, ale ja z niego w pewien sposób skorzystałem.

Żadną też miarą nie mogę się zgodzić na teorię profesora Kessingtona z Glasgow, który w poprzednim 1909 roku, przed kometa jeszcze ogłosił swoje poglądy w „Astronomical Review of G. R. S. of S”. Pisze on mianowicie, że kometa wcale

nie istnieje; że w pewnym układzie słońc i planet formuje się splot mgieł eterycznych międzyglobowych, które się łączą w nieokreślony a długotrwały obłok świetlny szczególnej formy, zwany kometą; obłok ten jakiś czas krąży w przestworzach, a potem rozwiany znika; przy tym układ taki eterów co pewien okres czasu się powtarza i tak samo powtarza się zjawienie tego świetlnego obłoku.

Blanchard z Paryża ostrą polemikę rozpoczął z Kessingtonem. Dowodził on realności komety i na zasadzie analizy spektralnej wykazał w jej ogonie obecność cyjanku potasu, zapowiadając całej ludzkości śmierć z otrucia.

Nic podobnego, jak wiemy, się nie wydarzyło, ale również fałszywa jest teoria Kessingtona. Kometa jest niewątpliwie ciałem realnym; ogon zaś jej, choć się składa z materii nieskończenie rozrzedzonej, to jednak posiada znakomitą sprężystość, jakby kauczuku, w stosunku do atmosfery ziemskiej, która jest niby drugą piłką z kauczuku. Zetknięcie się dwóch takich ciał niewątpliwie pewien efekt wywołać musi. Przy niesłychanej szybkości ruchu komety – uderzenie jej o Ziemię nie ma bynajmniej charakteru katastrofy; jest to uderzenie nadzwyczajnej siły, ale bardzo łagodne; skutkiem tego rezultat uderzenia jest prawie nieodczuwalny, ale trwa bardzo długo. W danym razie 64 lata.

Dlatego też owego czasu, dnia 18 maja 1910 roku – mieszkańcy planety, prócz lekkiego strachu, nic nie odczuli. Natomiast w kilka dni potem (nie od razu) i dalej przez całe lat

32 ludzkość była szczególnie zdziwiona osobliwym charakterem biegu wypadków, jakie się potoczyły na naszej planecie.

Cała sprawa polegała na tym, że kometa, uderzywszy w atmosferę Ziemi – pchnęła ją w kierunku odwrotnym jej zwykłemu biegowi. Orbita Ziemi, zamiast naprzód, poszła wstecz i wszystko się niejako na Ziemi odwróciło. Rodzaj ludzki jest z natury swej bierny, toteż po kilku miesiącach zdumienia wszyscy nawykli do tej odwrotnej kolei zjawisk.

Najgodniejszą uwagi rzeczą była w tym okresie nie tyle zmiana kierunku w obiegu Ziemi, ile odwrócenie czasu. Mianowicie czas zaczął płynąć wstecz, zamiast naprzód, od jutra ku wczoraj, wydobywając z powrotem, niby klisze fotograficzne, zjawiska utrwalone w przestworzach zamarłej przeszłości.

Po długich dyskusjach astronomowie dopiero w następnym 1909 r. ogłosili kalendarz, który się zaczynał od 31 grudnia, kończył na 1 stycznia. Wszystkie też fenomeny z czasem związane zaczęły się poruszać po linii odwrotnej. Naprzód był zachód słońca, a potem wschód; naprzód były żniwa, potem zasiewy; naprzód śmierć, potem życie; naprzód dzieci, potem małżeństwo. Zmartwychwstanie stało się prawem ogólnym, starcy odzyskiwali młodość i dzieciństwo, żony powracały do panieństwa, a dzieci znikwały w łonie matek, przechodząc do niebytu. Kto był w więzieniu, mówił:

– Mam za trzy lata popełnić taką a taką zbrodnię. – Wczoraj znaczyło jutro, jutro znaczyło wczoraj.

Wiosna powoli znikwała, zaczęły się śniegi i mrozy i w miesiącu

marcu-lutym mieliśmy dość ostrą zimą. A jednocześnie mój wierzyciel, z którym już w maju uregulowałem rachunek, pokazał się na nowo, żądając zwrotu całej sumy wraz z procentami. W marcu też przyniesiono nam z lombardu futra, które istotnie były nam przydatne. Styczeń roku 1910 upamiętnił mi się doskonale; wracaliśmy z cmentarza wraz z całym konduktem pogrzebowym, a gdy byłem w domu, wniesiono mi do pokoju trumnę, którą otwarto – po czym z niej wyjęto zwłoki mojej teściowej. Położono ją na łóżku, a po kilku dniach otworzyła oczy; z początku była osłabiona, ale wkrótce nabrała sił i znowu słyszałem jej miły głosik: – Ach, ty nędzniku przewrotny i rozpustny, zgubiłeś moją córkę, życie jej zламаłeś itp. Poczciwa Marynia dopiero ją mitygować zaczęła, zwracając uwagę na to, jak nasz półroczny Jaś ciągle maleje; jakoż w końcu listopada 1909 doszedł on do minimalnych rozmiarów i pewnego dnia zniknął w łonie matki. To samo stało się po roku (1908) z Olesiem, a w 1907 okazało się, że nie tylko teściowej, ale i żony nie mam wcale. Spotkałem się raz z Marynią na ulicy; na nowo była panną, a ja dopiero jej narzeczoną. Jej mama była dla mnie bardzo słodka. Natomiast brat mojej żony, który w poprzednim 1907 roku wrócił z zesłania z Ziemi Jakuckiej – na nowo się tam znalazł i aż do roku 1905 tam przebywał.

Nie mogę tu oczywiście wykładać historii powszechnej wstecz. Przypominam sobie jednak wielki ruch 1905 roku i dzień 30 października, w którym ogłoszono konstytucję.

Tymczasem już nazajutrz, chwała Bogu, konstytucji nie było

i żyliśmy w *ancien régime*²⁵, kiedy to spokojnie chodziło się do Filharmonii i grywało się w winta²⁶, a intendentura²⁷ robiła świetne interesa.

Pewnego dnia roznosiciele gazet wołali na ulicach: Cuszima! Innego zaś dnia: Bitwa pod Jalu! itd.

W tym właśnie czasie ze mną zaszły fakty następujące: żony swojej Marii zupełnie nie znałem, a posada, którą miałem w zarządzie kopalni węgla – była nie moja. Stary Breyer żył i siedział przy moim biurku, a ja z ostatnią trzyrublówką w kieszeni błądziłem po Warszawie, rozmyślając nad swoim zerwaniem z Jadzią. Pewnego dnia byłem w parku, gdzie pod starym klonem zakopałem w ziemi małą skrzyneczkę z medalionem (dar Jadwigi!), dłutkiem wyryłem datę: dnia 15 maja 1900 roku, nadto porobiłem na skrzynce, sam nie wiem dlaczego, pewne znaki magiczne, aby skrzynki tej ani czas, ani przestrzeń nie pochłoneły. Naraz ukazała się Jadzia, czyniąc mi srogie zarzuty o jakąś Emilkę i płacząc gorzko, zerwała ze mną na amen. Ale nazajutrz znów się z nią widziałem, byliśmy jak najlepiej: sielanka cała rozwinęła się prześlicznie, aż pewnego razu Jadzia zniknęła i nawet o niej nie wiedziałem.

Tu zaznaczę, że w poprzednim czasie, jeszcze nawet w r. 1910 nieraz przypominałem sobie ten moment i żałowałem zerwania. Bolała mnie ta niedopita czara. Powtórzenie było identyczne

²⁵ *ancien régime* (fr.) – dawny ustrój. [przypis edytorski]

²⁶ *wint* – daw. gra karciana. [przypis edytorski]

²⁷ *intendentura* (daw.) – służby zaopatrzeniowe wojska. [przypis edytorski]

z dawnym przebiegiem faktów, ale w odwrotnym kierunku. Właśnie przeszedłem z IV kursu prawa na III, a potem na II i I, aż pewnego dnia znalazłem się w gimnazjum, przechodząc ściśle z klas wyższych do niższych, aż na koniec z chwałą doszedłem do klasy wstępnej.

Byłem wtedy niezmiernie szczęśliwy, gdyż znowu znalazłem się w domu rodziców, kochany, pieszczony i próżny trosk. Na Boże Narodzenie dostałem ślicznego konia, a w kilka lat później chodziłem z niańką do ogrodu, w szkockich majtkach. Pewnego dnia przestałem mówić i umiałem tylko bełkotać: mama-tata! zapomniałem sztuki chodzenia, nosili mnie na rękach itd.

Pomimo tak szczególnego zniedołężnienia, pamiętałem doskonale wszystko, co działo się przedtem, choć większość ludzi całkowicie o tym zapomniała. Nastąpił jednak i dla mnie ostateczny moment nieświadomości i mroku. Pewnego dnia zniknąłem ze świata: po prostu nie byłem! Jak długo nie byłem – określić trudno. Czas mego niebytu nie istnieje dla mnie. Zdaje się jednak, że długo to nie trwało.

Tu małe wyjaśnienie: piłka uderzona leci w danym określonym kierunku, ale po jakimś czasie znów na ziemię spada, co się tłumaczy prawem ciężenia. Podobnie Ziemia, pchnięta po orbicie odwrotnej, krążyła jakiś okres lat wstecz, aż pewnego dnia wróciła do normalnego biegu. Czas powrócił również do swej normy. O ile dane moje sięgają, przeżyłem wstecz lat 32; potem nastąpił mrok niebytu, i znów się ukazałem na świecie. Był rok 1878, gdy nastąpiło moje powtórne

urodzenie.

Długi czas nie mogłem tego zrozumieć i połąpać się w analogiach mego pierwszego i drugiego pobytu na ziemi. Była pewna rozkoszna monotonia w tym powtórzeniu, które mnie wielce zdumiewało, gdym rozumiał tajemnicę.

Ciągle marzyło mi się, aby rozwinąć żywot swój w edycji poprawnej, doskonalszej niż poprzednia, ale na próżno: fatum jest nad nami, i musimy prawie bezwzględnie powtarzać sami siebie. Przy każdym zdarzeniu mówiłem sobie: to już było, to już znam, to już widziałem. I ta niańka, co mi bajki opowiadała, i ten koń drewniany i ta bakalarnia²⁸, do której mnie posyłano – wszystko to znałem – i owszem, powiem, że miło jest żyć po raz drugi; szkoda tylko, że się to zdarza bardzo rzadko. Tak przeszedłem znów gimnazjum i znów byłem w szkole prawa, i znów spotkałem się z Jadwigą.

Od pierwszej chwili, gdym się spotkał z Jadwigą, coś mnie tknęło: niewątpliwie znaliśmy się w poprzednim żywocie i niewątpliwie było między nami coś serdecznego. Nic dziwnego też, że w jednej chwili czuliśmy się jak starzy znajomi. Zacząłem też jej przypominać pewne fakty z naszego poprzedniego życia, ale Jadwiga mało pamiętała. Wszystko to, co mówiłem, traktowała jako fantazję, choć bez wątpienia – mówiła – coś się w niej budzi powoli, jakieś wspomnienie, ale było to raczej wspomnienie snów i rojeń sennych, niż rzeczywistości. Dopiero po kilku tygodniach zaczęła sobie ten sen uświadamiać: ja

²⁸ *bakalarnia* (daw.) – szkoła. [przypis edytorski]

podsuwałem jej obrazy, które musiała w tym śnie oglądać.

Klaskała w ręce, płakała i śmiała się z podziwu, gdym jej własne jej sny opowiadał; nasze dziecinne radości i smutki – nasze pierwsze pocałunki – i kłótnie, zwłaszcza historię z powodu jakiejś Emilki – i potem zerwanie. Jadzia była zawstydzona tym widzeniem sennym i opowiadała dalsze swoje, jak nazywała, sny. Zerwawszy ze mną, zapoznała się z jakimś starszym panem, który się z nią ożenił; był dość zamożny, ale ona szczęścia w tym związku nie znalazła i zawsze żałowała, że tak nagle mnie porzuciła. Ale szczęściem – dodała – był to sen. Nigdy z tobą nie zrywałam; zawsze byłam twoja.

Ucałowałem ją w usta i w szyję, gdy nagle ujrzałem na jej piersi medalionik, a w medalioniku był jej własny portrecik z lat dziecięcych. Byłem dziwnie poruszony: ja znam ten medalionik; taki sam, może ten sam – ona mi niegdyś dała na pamiątkę. Czy przypominasz sobie o tym? Ale właśnie ja taki sam medalion zakopałem w parku zamiejskim, pod starym klonem. Jeżeli ten medalion jeszcze tam jest, to znaczy, że wszystkie moje przypuszczenia się potwierdzają.

– Pójdźmy do parku – rzekłem – musimy zbadać, czy ta metalowa skrzyneczka jeszcze się tam mieści.

Rzeczywiście nie była to złuda: dzięki magii moich uczuć i moich zaklęć – skrzyneczka z medalionem – przedmiot materialny – przeważył niematerialną potęgę kołowrotu czasu i do dziś przetrwał nienaruszony.

Inne przedmioty znikwały stopniowo, przechodząc w jakiś cień

niebytu razem z zamierającym metaczasem. Tak np. próżno szukałem kalendarzy lub gazet ówczesnych; czas je pochłaniał w szczególny sposób, jakby to naddatkowe tworzenie rzeczy wiązało się z naddatkowym czasem i jakby razem z zanikiem tego okresu ziemi rozpadało się w nicość wszystko to, co było stworzone w tym okresie z materii. Moja nowa miłość z Jadwigą przypadła na czas, kiedy miałem lat 22, tj. około 1900 r. Zauważyłem, że w bibliotece publicznej wszystkie dzienniki i kalendarze od r. 1900 do 1878 zniknęły bez śladu, jakby rozwiane w niebycie. Były natomiast jeszcze te, które dotyczyły lat 1910–1905, ale i te kolejno znikwały – tak, że gdyśmy teraz idąc w odwrotnym do poprzedniego kierunku, doszli do lat 1905–1910, wszystko to, co mogłoby świadczyć o potężnym przewrocie kosmicznym – niby mgła nierealna pryskało i znikało.

Jedyny (zdaje mi się) dowód niezaprzeczony rzeczywistości tego okresu stanowi ten medalion, wykopany z ziemi pod klonem w starym parku. Ze łzami w oczach całowała Jadwiga ten medalion, świadectwo naszego poprzedniego żywota i naszej poprzedniej miłości.

Zrozumiała teraz wszystko: to nie były sny, to była dawna przedistnieniowa rzeczywistość nasza; to była nasza lekkomyślność, co nam kazała zerwać z sobą i nie dopełnić naszego szczęścia. Teraz już byliśmy jak jasnowidzący; już rozumieliśmy, co powinniśmy. Powinniśmy teraz do dna wypić niedopitą czarę. O słodka godzino cudu! Jakże szczęśliwi,

wniebowzięci byliśmy w tym drugim żywocie! Jakąż głęboką mądrość wykazywały serca nasze, bogate doświadczeniem ubiegłych okresów!

Oboje też – ona i ja – staliśmy się po prostu fenomenem kosmicznym dla stwierdzenia wielkiego przewrotu globu naszego. Otrzymałem od niej drugi medalion, który razem z pierwszym (w skrzynce) chowam na pamiątkę.

Sądzę, że byłby to najpiękniejszy dar dla jakiegoż muzeum.

Swoją drogą po kilku latach rozeszliśmy się z Jadwigą – zresztą w najlepszej przyjaźni. Wyszła za jakiegoś zamożnego pana. Ja zaś ożeniłem się z Marią, osobą niezmiernych zalet serca i duszy, bardzo przystojną i zamożną – i byłbym z nią absolutnie szczęśliwy, gdyby nie moja najdroższa teściowa, która aż do śmierci (w styczniu 1910 roku) mieszkała u mnie. Mamy dwoje dzieci; Oleś umie już chodzić i mówić, a Janek zjawił się na świecie powtórnie po 64 latach niebytu.

Słowem, wszystko wróciło do normy – i wszelkie ślady tego kolosalnego przewrotu znikły bezwzględnie, tak że nowsi rachmistrze nawet jednej minuty nie mogą doliczyć do zwykłego wymiaru czasów.

Matematycznie mają rację, jeżeli bowiem dodamy $1878 - 1910 = -32$, a $1910 - 1878 = +32$, to $-32 + 32 = 0$ (zero). Ściśle biorąc, przewrotu nie było.

Ale ten medalion – te dwa medaliony! I któż może lekceważyć naiwne podarki, jakie między sobą wymieniają zakochani?

W tych medalionach mieści się niezbity dowód opisanych

przeze mnie faktów. Nie sędę, abym ja jeden był pod tym względem uprzywilejowany; niewątpliwie i inni z ludzi owoczesnych – ludzi z okresu komety – mają po temu dowody. Pożądanym jest, aby i oni się odezwali.

Sen

Redakcja „Absolutu” ogłosiła pewnego razu ankietę o snach. Szło mianowicie o zbadanie, czy istnieje jakiegokolwiek terytorialne, masowe prawo analogii widzeń sennych – czy też jest to dziedzina bezwzględnie osobista.

W odezwie do publiczności umieszczono prośbę, aby zechciała pilnie śledzić swoje sny – między dniem 10 a 20 września – i aby je w możliwie dokładnym opisie przesłała, oznaczając przy tym płeć, wiek, zajęcie itd.

Redakcja liczyła co najmniej na półtora tysiąca odpowiedzi. Tymczasem, jak to najczęściej bywa u nas, gdzie ogół traktuje ankiety bardzo apatycznie, nie otrzymano listów więcej nad trzydzieści parę, przy czym większość pochodziła od różnych figlarzy, z których ten i ów opisywał swoje wielce niecenzuralne przygody z Lolotą, Szarlotą, Pepitą itd. Niektórzy opowiadali rzeczy bardzo znane: latanie po powietrzu, ucisk zmory itd., co wszystko wynika z powodów czysto mechanicznych i nie jest ani socjalne²⁹, ani osobiste. Kilka starych panien opisało rojenia o swoich dawnych straconych zachodach miłości; inni podróże po Chinach i Indiach, albo znów echa przeczytanych książek.

Ostatecznie można ankietę uważać za chybioną. Zgromadzony materiał nie pozwalał osądzić, czy istotnie

²⁹ *socjalny* – tu: społeczny. [przypis edytorski]

ludność, zamieszkująca pewne terytorium, ma w swoich widzeniach sennych pewną linię wspólną, czy ulega pewnym prawom socjologicznym – czy też jest to dziedzina anarchicznej dowolności.

Jeżeli jednak niektórzy uczeni z fenomenu snów wyprowadzają całą niemal mitologię, pierwotne pojęcia o duszy, o jej wędrówkach i nieśmiertelności – to prawo masowe widzeń sennych jest wielce prawdopodobne.

Redakcja „Absolutu” nie traci nadziei, że gdy za parę lat podejmie tę samą ankietę, uzyska większą liczbę odpowiedzi na ten ważny problemat psychologii narodowej.

Otrzymaliśmy – pomimo wszystko – parę listów ciekawych – i owszem, jak się pokazało, są ludzie, którzy widzenia senne niejako kultywują. Czasami zdarza się nawet, że ci, co życie rzeczywiste mają szare i jałowe, we śnie rozwijają niezmiernie bogactwo niespodziewanych, barwnych obrazów. To wewnętrzne życie duszy, choć nie związane ściśle z zagadnieniem pierwotnym ankiety, ma swoją osobliwą wartość – i redakcja „Absolutu” nie wahała się tych listów publikować. Korzystając z pozwolenia redakcji, ogłaszamy też niektóre referaty.

Oto co pisze pan Józef N.

...Płeć: męska.

Wiek: lat czterdzieści sześć.

Zawód: nieokreślony; właściwie jestem wykolejeńcem: próbowałem nauczycielstwa, gospodarki rolnej, agentury

handlowej; służyłem w konspiracjach, robiłem dzwonki elektryczne, kapsułki dla aptekarzy itd. Skończyłem ostatecznie na dziennikarstwie. Pracuję w pismach codziennych A. B. C. Płacą mi bardzo mało. Jestem nikomu nieznany. Stanowię tzw. siłę użyteczną. Ściągam różne – mądre i głupie – rzeczy z gazet zagranicznych. Nikomu nie zazdroszczę, do nikogo nie mam pretensji – z nikim też się nie zbliżam.

Z kobietami dawno zerwałem – albo raczej one ze mną, o ile można w tej sprawie wykrzyć pierwszeństwo. Żyję niemal bezwzględnie sam, tylko w jednej małej kawiarni spotykam się od czasu do czasu z kilku znajomymi. Zginałbym niewątpliwie z nudów, wlokąc życie bezbarwne i beznadziejne, gdyby nie to, że odkryłem w sobie jeden cudowny talent.

Umiem spać!

Talent bardzo rzadki – i nie wiem, czy znajdzie się na świecie siedmiu braci śpiących, ale śpiących umiejętnie, mądrze, artystycznie... Talent ten rozwijałem w sobie długo, starannie i systematycznie. Sen – to moje realne życie: śpiąc, mam świadomość snu; żyjąc, nie mam świadomości życia. Co noc przeżywam nadzwyczajną, bezładną, fantastyczną, ale bardzo interesującą historię. Moment przebudzenia – to dla mnie moment zgrozy; nowe zejście w rzeczywistość, której z głębi serca nienawidzę.

Długo pracowałem nad sobą, zanim osiągnąłem ciągłość widzeń. Najważniejszą sprawą było tu dla mnie zwalczenie przestrawu. Dawniej, gdy jeszcze mnie interesował świat

zewnątrzny – ile razy w widzeniu groziło mi niebezpieczeństwo, natychmiast się budziłem. Była to w istocie ucieczka, na jawie w takim wypadku byłbym hańbą okryty; z drugiej strony uchodzić z niebezpiecznych krain widmowych w jeszcze niebezpieczniejszy świat okropnej jawy – jest to niedorzeczność. Postanowiłem tę trwogę we śnie przewyciężyć: nie uciekać, nie budzić się ze snu, ale dalej trwać w tej wizji, która chwilami bywa groźna, ale gdy trwogę zwyciężysz, jeszcze większe cuda zobaczysz.

Miałem świadomość snu – i w pewnych okazjach mówiłem sam do siebie: to sen – tu ani śmierć, ani życie nie jest rzeczywiście rzeczywistym; tu nic ci nie grozi, oprócz przebudzenia: żyjesz w wieczności – wiekuiście umarli.

W nocy z d. 10 na 11 września r. b. miałem sen następujący: Śniło mi się, że byłem na jakimś bulwarze, który zdobiły całe szeregi klonów, topól i kasztanów. Niby to było miasto, niby ogród. Po ulicach krążyło niewiele osób, a godzina była przede zmierzchem. Uwagę moją zwróciła pewna młoda osoba, najwyżej lat dwudziestu, powierzchowności tak ujmującej, że oczu nie mogłem od niej oderwać, i nieznajoma też uśmiechała się do mnie tak słodko, że czułem – zbliża się moment mojego szczęścia: to jest właśnie ta, której szukałem na ziemi – i jużem chciał jej powiedzieć słowo ostateczne, gdy zaczęła mnie niepokoić pewna szczególna okoliczność: dziewczyna, kształtna, ślicznie zbudowana, w popielatej skromnej sukni szła jak sarenka na drobnych nóżkach, nęcąca i świetlana, ale

ręce jakoś tajemniczo ukrywała pod niebieskim fartuszkciem. Pomyślałem więc sobie, aby ręce pokazała, i, posłuszna mojej myśli, natychmiast ręce wyjęła: na ten widok zdrętwiałem z przerażenia i zimny dreszcz mnie przeniknął. Ta prześliczna dziewczyna o twarzy Madonny miała po siedem, osiem, nie po jedenaście palców, dziwacznie umocowanych, u każdej ręki. Dziewczyna spostrzegła mój niepokój. – Ach, ty mnie opuścisz! – mówiła żałośnie. Jakoż ja, pełny niezgłębionego smutku, poszedłem dalej, bo mnie ta potworność zraziła. Dziewczyna pod drzewem padła rozplakana.

Zastanawiałem się jeszcze nad tym dziwem, gdy ujrzałem naprzeciw siebie kobietę kolosalną, prawdziwą kariatydę o twarzy bogiń egipskich. Brylantową gwiazdę miała na czole i nosiła purpurową, grecką, rozwartą u boku – suknię. Posuwała się z wolna – z wolna, jak przystoi bogini. Czuję się wobec niej maleńki, ale mnie czarował jej ogrom i chciałem hołd jej złożyć. Uśmiechała się do mnie życzliwie i padłem przed nią na kolana. Naraz³⁰ jej grecka suknia od wiatru uchyliła się nieco, odsłaniając jej białe ciało, ale znów ze zgrozą ujrzałem straszna tajemnicę: ta kobieta wcale nie miała nóg, był to olbrzymi tors, oparty na stopach, którymi z trudem poruszała.

– Co za potwór! – pomyślałem i raz jeszcze uciekłem.

Nie, chyba bóg miłości, królujący w marzeniach sennych, nie łaskaw dziś na mnie. Tymczasem nowa zjawiła się na mej drodze istota; była to kobieta średniego wzrostu, w sukni jaskrawo

³⁰ *naraz* (daw.) – nagle. [przypis edytorski]

zółtej, cerę mająca barwy cygar hawańskich *colorado maduro*.

– Ach, na koniec widzę ciebie – zawołała. – Kocham ciebie, Arionie.

(*N. B.* We śnie tracę swoje imię realne – Józef – i nazywam się Arion).

– Czy ci nie wstyd myśleć o takich rzeczach – odparłem, nie bez awersji patrząc na tego koczkodana. – Lepiej byś się czegoś nauczyła.

– Ale owszem – rzekła na to hawanna – ja umiem geometrię. – I ujęła mnie za rękę.

Nie, nie wytrzymam takich okropnych widzeń! Zacząłem znowu uciekać bulwarem (tylko się nie obudź – mówiłem sobie). Domów było tu niewiele. Naraz ujrzałem wrota, niby sklepu jakiegoś; otworzyłem je, wpadłem do izby, pośpiesznie zamknąłem. Była to pracownia rzeźbiarska, w której siedział młody człowiek, zapewne artysta – przed cudownym posągiem z białego marmuru: była to postać tanecznicy na paluszkach lewej nogi oparta, prawą niemal poziomo w tył przesunęła, sama z lekka pochylona. Grecką fletnię trzymała w ręku. Dzieło było skończone, ale wynik pracy był ten, że artysta siedział martwy jak posąg z dłutem w ręku, a marmurowa tanecznica żywo się poruszała i, grając na fletni, wzywała mnie ku sobie.

– Kochanku mój – wołała.

– Galateo! – krzyknąłem. – Kocham ciebie – kocham na wieki! O, jakżem szczęśliwy.

Istotnie byłem szczęśliwy – znalazłem swoją boginię! Ale była

we mnie trwoga, że okropna Indianka może się zjawić i zatruć mi tę godzinę cudu:

– Uciekajmy – zawołała Galatea, i już tę nogę, co była oparta o piedestał, podnosiła, jakby zawieszona w powietrzu – gdy naraz otwarły się drzwi pracowni i wpadła megiera: głowę pokryła swoją żółtą suknią, a na brunatnych nogach skakała jak małpa. W ręku miała siekiere i wołała:

– Ja rozwalę twoje szczęście!

I na drobne kawałki rozbiła marmurową dziewczęcę.

– Po co mi ta geometria! – ryknąłem z rozpacz, aż się rzeźbiarz martwy przebudził.

– Galatea – wołał – Galatea! – i wyrwawszy z rąk wiedźmy siekiere – odrąbał jej głowę, potem sobie samemu, wreszcie i mnie chciał podobnie uraczyć, ale tu – wyznaję nie bez wstydu – wziąłem nogi za pas i umknąłem.

(Nie była to ucieczka ze snu w rzeczywistość, ale tylko z pracowni, gdzie zginęła biała tanecznica!)

Znalazłem się sam na pięknej, obszernej łące, zarosłej bujną trawą i pokrytej barwistym kwieciami. Zapach siana unosił się w powietrzu, jakby łąkę świeżo skoszono. Piękna ta miejscowość leżała nad dość szeroką rzeką; po drugiej stronie rzeki stał mój dom, wiedziałem o tym i chciałem się tam dostać. Most łączył oba brzegi, ale przejście przez most było bardzo ciężkie, gdyż mniej więcej co pięćdziesiąt kroków stały tam na straży jakieś groźne zwierzęta: u wejścia dwa bure niedźwiedzie, dalej wielkie psy o oczach jak filiżanki, dwa nosorożce z rozdziawioną mordą,

dwa zięjące ogniem smoki. Jeden z tych strażników stał zawsze po prawej stronie mostu, drugi po lewej.

W niemałej trwodze ruszyłem naprzód, bo innej drogi nie było. Chciałem udać, że mnie wcale nie ma, i tak się jakoś prześlizgnąć, aby mnie te bestie nie spostrzegły. Jakoż niedźwiedzie tylko coś węszyły – i, obwąchawszy, przepuściły mnie swobodnie, ale psy z okropnym ujadaniem rzuciły się na mnie, jakby mnie chciały poszarpać; – zimny pot lał mi się z czoła, a koniec mostu był tak daleko – tak daleko! Ze łzami w oczach biegłem naprzód, aż się znalazłem na linii nosorożców; te bez litości porwały mnie na rogi i rzuciły powietrzem aż pomiędzy dwa ogniste jaszczury. Smoki naraz zaczęły mnie zalewać swoim ogniem i spaliłbym się na popiół, gdyby nie to, że strumienie stawały się coraz chłodniejsze, aż na koniec zmieniły się w bardzo przyjemny prysznic zimnej wody, jakbym był w Nowym Mieście albo Nałęczowie.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.